

WIECZORY RODZINNE

TYGODNIK ILLUSTROWANY DLA DZIECI

MYSZA WIEŻA.

Stoję na brzegu, a u moich stóp rozbijają się na żółtym piasku fale jeziora, nad którym wiszą nisko szare, kłębiaste chmury. W dali widnieje czarna, wysoka baszta, na pół przysłonięta mgłą. Rybitwy i sokoły-rybołowy krążą ponad wodą, a cały krajobraz wygląda dziwnie smutnie. Od czasu do czasu wiatr zmienia kształty chmur, które przybierają różne, najfantastyczniejsze postacie, a fale ciemne marszczą się i białą pianą okrywają wybrzeże.

Mrok zapada, przedmioty otaczające powlekają się jednolitą, szarą barwą; fala u moich stóp zdaje się coś szeptać cicho, a szept ten mię rozmarza. Wpatrzona w wodę powoli pogrążam się jak gdyby w sen czy marzenie, wśród którego dziwne obrazy przesuwają się przed moim okiem. Z łona fal powstają dawno już zmarłe postacie, odziane w hełmy, zdobne w turze rogi, oraz kaftany ze skór wilczych i niedźwiedzi. Owa baszta opuszczona staje teraz przed moim okiem taką, jaką była przed laty: obronną i potężną; w wąskich jej, podobnych do strzelnic oknach widzę światło, a do ucha mego dolatuje odgłos rogów i pieśni wesołych.

— Uczta, uczta; moźny książę, pan tej baszty, ucztę wydaje, na którą zaprosił licznych swych krewniaków. Jest ich dwunastu, wszyscy przybyli na dzielnych koniach, mając miecze przy boku, a rysie kołpaki na głowach. Książę prosi ich uprzejmie do sali, gdzie stoją zastawione stoły.

— Niech rogi zagrają, by nam było weselej ucztować!—

woła na służbę. I grają rogi, a głos ich płynie po falach jeziora, smutny i żaloszny. Ale miód, który w czarach podano, był zatruty; wnet jeden, drugi z gości padł martwy na ziemię, aż byli obok siebie wszyscy dwunastu. A książę stanął, wołając w tryumfie:

— Teraz wszystkie dzielnice moje, cały kraj do mnie należy!

I kazał wrzucić w wodę dwanaście trupów; a była wtedy noc ciemna, a fale jeziora szemrały posepnie, jakby je zgroza przejmowała.

Ale niedługo obraz się zmienił: oto gromady wielkich łodzi napelniły jezioro; w każdej łodzi siedzi po kilkudziesięciu wojowników, odzianych w pancerze i hełmy, z pod których błyszczą ich oczy, jak u drapieżnych sokołów. Z wierzchołka baszty rozległ się znów dźwięk rogu, ale teraz zwiastował on trwogę.

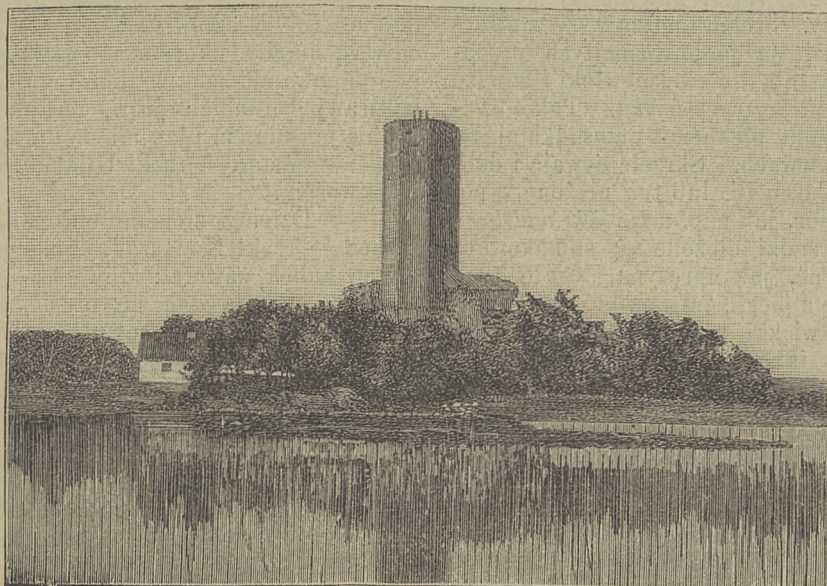
— Myszy morskie! Myszy morskie! — rozległ się krzyk dokoła.

Tem imieniem zwano wojowników, z dalekich północnych

krain, aż od brzegów Skandynawii przybyłych.

Ciemne statki wciąż się przybliżają, wojownicy wyskakują na ląd i szturmują do baszty. Srogi bój zawrzał; z jednej i drugiej strony latają pociski i strzały, ale w końcu myszy morskie zwyciężyły. Szczyt wieżycy oświecił się płomieniem, którego odbłask, jak płaszcz czerwony, rozpostarł się na chmurach. Padł książę, a z nim cała jego drużyna, a wśród ludu powstała legenda, że za karę zbrodni został pożarty przez prawdziwe myszy, nie zaś przez rycerzy, noszących to miano.

Nagle obrazy znikają z przed moich oczu, i znów widzę

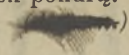


Myszka wieża.

tylko przed sobą opuszczoną, czarną wieżycę, którą już mroki nocne okryły, a u stóp mych fale szepczą tajemniczo. Przecieram oczy, pytając:

— Więc to był sen?

A fale Gopła z pluskiem rozbijały się na żółtym piasku wybrzeża, wiatr szumiał i zawodził jakąś pieśń ponurą.



ŻYCIE W OCEANIE.

PRZEZ

Dr. M. Stefanowską.

(Dalszy ciąg).

Terebella nebulosa należy do najpiękniejszych i najciekawszych z robaków morskich. Pokrewne jej gatunki żyją podobnie w rurkach, urabianych z rozmaitych przedmiotów: ziarenka piasku, drobne muszelki mięczaków służą jako materiały do budowania takich rurek. Niektóre robaki bywają prawdziwymi artystami w tej czynności; umieją one wybierać ziarenka piasku jednakowej wielkości i robią z nich rodzaj gęstej tkaniny, na której ziarenka rozmaitych barw tworzą dziwne desenie mozaikowe.

Pluskielka sporządza rurkę z mułu i zakopuje ją w piasek w pionowym kierunku; niektóre gatunki mają rurki galaretowate, wapienne i pargaminowe, proste lub pogieęte, jak naprzykład na ryc. 64. Wreszcie niektóre robaki przykrywają wieczkiem, otwarty koniec rurki, aby do jej wnętrza nie dostał się gość nieproszony. Robaki noszą wszędzie rurki ze sobą, lub też przytwierdzają je do rozmaitych przedmiotów, lecz same nie przrastają do swej powłoki i zawsze mogą umknąć z niej w razie niebezpieczeństwa. Takie osiadłe robaki opatrzone są zwykle piękniemi przysadkami na głowie o nader delikatnych barwach. Skrzele bywają i delikatne i drzewkowate, jak u *Terebelli*, lub też ułożone w postaci przepysznego wieńca z piór, jak nap. u *rurówki nadobnej*; niekiedy także parzyste przysadki ułożone są ślimakowato i mogą rozkręcać się i skręcać, jak sprężyna. Ciało tych pięknych stworzeń składa się z pierścieni, na których z prawej i lewej strony wyrastają wiązki twardych włosów, zwanych *szczecinami*, służą one jako podporki przy pełzaniu. U pewnych gatunków szczecinki tak się rozrastają, iż okrywają gęsto cały grzbiet zwierzątka, tak jest np. u *kosmatnicy* (*Aphrodite*), mającej złociste włosy, połyskujące wszystkimi barwami tęczy; trudno oderwać wzrok od tego pięknego stworzenia.

Kosmatnica, oraz pokrewne jej gatunki rurek nie budują; tułają się one wolno w morzu i napadają na inne stworzenia, gdyż są to śmiałe rabusie.

Robaki mające ciało złożone z pierścieni, nazwano *pierścienicami*; wiele jest między nimi gatunków świecących. Do pierścienic należą *terebella*, *piuskielka*, *rurówka*, *kosmatnica* i nasza *ładowa dżdżownica*. Jestto dział ogromnie obfity w morzu, i nieprędko byśmy skończyli, gdybyśmy chcieli opowiadać o wszystkich ciekawych zwierzętach, należących do tej grupy, a ponieważ mamy jeszcze wiele zajmujących rzeczy do opowiadania o „życiu w oceanie” spieszmy tedy do innych mieszkańców morza.

* * *

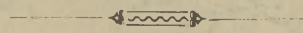
W morzu żyją niezmiernie licznie drobniuchne istotki, zwane *mszywiolami*. Wspominamy o nich na tem miejscu, ponieważ dawniej zaliczane były do robaków, obecnie zaś stanowią w zoologii oddzielną grupę.

Mszywioly (fig. 65) z pozoru mają wiele podobieństwa do polipów koralowych; żyją najczęściej gromadnie, tak jak

polipy i rosną w postaci drobniuchnych krzaczków, do mehu podobnych; jednakże wewnętrzny ustrój tych zwierzątek jest o wiele doskonalszy niż u polipów.

Kolonie *mszywiolów* (fig. 66) często są przesiąknięte wapnem i przybierają wówczas najrozmaitsze kształty; niekiedy cała osada wygląda jak delikatny biały tiul, okrywający liście wodorostów, to znowu przybiera postać koronkowego krzaczka. Inne jeszcze gatunki okrywają kamienie i skały delikatną siateczką lub dziurkowatą skorupą wapienną.

Mszywioly wydzielające wapienną koralowinę, żyją przeważnie między wapieniowatemi krasnorostami (patrz *Rośliny morskie*) i niemało przyczyniają się do budowy raf i wysp koralowych oraz nowych warstw wapiennych.



KRÓLEWICZ

POWIEŚĆ Z XV WIEKU

przez

Z. Morawską.

(Dalszy ciąg).

Andor nie pojmował nawet doniosłości swego czynu, a raczej w tej chwili może dopiero otworzyły mu się oczy. Chociaż bowiem był bardzo biegłym w naukach, a szczególnie w prawie, jego proste serce szło zawsze za popędem uczucia, nie obrachowywał więc następstw swojego czynu.

Zgnębiony milczeniem posłów, ukląkł przed opiekunem i głosem pełnym szczerości począł się tłumaczyć:

— Tak, wiem, że wszelki podstęp, podejście, jest niegodne uczciwego człowieka; ale ja miłuję kraj mój; słyszałem od was, iż gdy ukoronują Pogrobowca, Niemce wezmą nas pod panowanie, nie mogłem tego zcierpieć, jako Węgier, jako prawy syn moich ojców, postanowiłem naród mój bronić, bronię jak umiem i jak mi się ku temu nadarzyła sposobność!

— Wstań — rzekł Ujlakim, i spojrział na wychowanka z tkliwością.

— Dzielny z ciebie chłopak, chociażś mnie z ławy zrzucił — rzekł Kopaszad, i poklepał go po ramieniu. A nalawszy kubek, zawołał: Pij!

Andor nie dał się prosić, znużony bowiem podróżą i niewyspaniem, potrzebował należytego posiłku.

— Pilnujże teraz owego skarbu i miej o nim staranie — dodał Ujlakim.

I zaczęto się zbierać do dalszej podróży.

Andor, uszczęśliwiony z takiego obrotu rzeczy, owijał starannie przywieziony skarb, jednocześnie jednak minę miał zafrasowaną, a raczej głęboko był zamyślony.

Zebrawszy się zaś na odwagę, zapytał:

— Pozwólcie mi, panowie posłowie, rzec jeszcze słówko.

— Mów — zawołał Kopaszad, który zawsze starał się mieć pierwsze słowo, aby tem swoją wyższość okazać.

Ujlakim kiwnął głową w milczeniu.

— Jeżeli ten skarb nie koniecznie potrzebny w Krakowie, możeby go gdzie po drodze zostawić.

— Dlaczego? — spytał Ujlakim.

— Któż wie, gdy się opatrzą, mogą wysłać pogoń, a chociaż postaram się zmienić swoją postać, mogą wam jednak, szlachetni panowie, w podróży wielką dyferyencję uczynić.

— Hm, hm! — pokręcił głową Kopaszad, nie wiedząc, jak się na to będzie zapatrywał jego towarzysz.

— Ha, dobrze to czasem i młodej rady posłuchać — rzekł Sandor, który znał się na przebiegach wojennych, lecz spraw ukrytych prowadzić nie umiał.

— No, ale gdzież ją zostawimy? — spytał Kopaszad, wskazując na owiniętą starannie koronę.

— Nim słonko schyli się ku zachodowi, będziemy już kawał po drugiej stronie granicy. Zboczyć jeno nieco, a trafimy do brata mojej żony, który upodobał sobie w Polsce dziewczuchę, a nawet tam się przeniósł do jej krainy, bo mu żonka wniosła ładny szmat ziemi, a bodaj i jakąś górę z kopalniami żelaza.

— Hej, toście wy po tamtej stronie znajomi, ba i powinowaci — zaśmiał się Kopaszad.

I zaraz ciągnął dalej:

— Wasza rada mądra, upieczemy dwie pieczenie przy jednym ogniu. Nawet trzy: zmylimy drogę, gdyby pogoń na pięty nam następowała, zostawimy to kosztowne cacko i posilimy się jakoś po ludzku. Boć na takim jadle, jakie mamy już dwie doby, człek by zeszedł bodaj na psa gończego!

To mówiąc, splunął z niechęcią i pogładził się po swej okazałej postaci i poprawił nieco rozluźnionego, podtrzymującego kubrak podróżny, pasa.

Tymczasem Ujlakim nagle zawołał:

— Wszelki duch Pana Boga chwali, a to co?

I wskazał w kął izby.

Kopaszad spojrział we wskazane miejsce i śmiać się począł, wzięwszy się za boki.

— Ha, ha, ha! to ci się przedzierzgnął w pastucha! rodzona matka by cię nie poznała, mój chłopeze!

— No, no, kto by się to spodziewał, że z tego pokornego żaczka taki frant przebiegły!

Rzeczywiście, Andor był nie do poznania. Długie obwisłe, spadające na czoło włosy i kosmykowata, z rzadka w niewielkie kłaczki broda zmieniły twarz jego najzupełniej. Ubiór zaś z szarej wełny, z długimi poszarpanemi w naturalne frendzle pasami, zrobiły z niego pastucha trzody chlewnej, a raczej handlarza, jacy się często na granicy włóczyli.

Ujlakim jednak wkrótce pomiarkował zdziwienie, oraz uśmiech cisnący mu się mimowoli na usta i rzekł surowo:

— Zbytecznać to zda się przezorność, po drugiej stronie granicy pogoń dla nas nie straszna. Sprawa sama nadto wielka i święta, aby ją błażnictwem a dziecinnemi zabawami okraszać.

— Myślałem, że wrzekomo wskazując wam drogę, łatwiej będę mógł w tem ubraniu przy orszaku pozostać — rzekł skonfundowany uwagą opiekuna młodzieniec.

— Ucieszna bestya, pozwólcie mu, niech tak zostanie — wtrącił Kopaszad.

A ledwiec to rzekł, wbiegł dworzanin, należący do orszaku, mówiąc:

— Pastuchy spędzający trzody z pastwiska donieśli, iż ciągnie tu kilku obcych ludzi, którzy się rozpytywali, czyby gdzie nie widziano młodzieńca, z mieszczańską ustrojonego.

— Gdzie poszli? — spytał Ujlakim.

— Kto, pastuchy?

— Ośle! pytam o tych obcych ludzi.

— Aha, okrążyli miasto i pociągnęli wprost ku polskiej granicy — odparł niezbity z tropu dworzanin.

— Wyruszamy w tej chwili; gotować się do drogi! — rzucił rozkaz dworzaninowi baron na Wrótczy.

A zwracając się do Kopaszada, dodał:

— Pójdziemy na wschód, nawet nam nie będzie z drogi, boć mamy zajść do szwagra.

— Kiedy wam znajomie te drogi, kierujcie więc orszakiem! — rzucił swoje przyzwolenie główny poseł — bo nie lubił wszelkich trudnych terminów.

Żeby zaś godności swej nie uwłaczać i pierwszeństwa nie tracić, dodał, puszczając się po swojemu:

— Oddaję wam, zacny dowódczo honwedów, czasowe rządy nad całym orszakiem, a nawet ja sam rządowi tym obowiązuję się podlegać.

To mówiąc, podniósł głowę do góry i z wielką pompą wyruszył w drogę. Za nim pociągnął niewielki orszak, poprzedzany przez przebranego Andora, który, uzbroiwszy się w kij podróżny, szedł na ten raz pieszko, wskazując wrzekomo drogę, którą sam nigdy w życiu dotąd nie przechodził.

Pomagał mu jednak w tem trudnem zadaniu baczący zawsze na wszystko Ujlakim. Ten, jadąc owinięty doszczętnie opończą gwoli lejącego deszczu, ukrywał wśród obszernego okrycia drogocenny ciężar tak cudownym sposobem przez jego wychowańca zdobyty.

VI.

— Koronę skradziono! — rzekł Gar, oddawszy zwykły pokłon siedzącej na swem tronowem krzesle Elżbiecie.

— Co? jaką?!! kiedy!?! — zawołała królowa.

— Koronę, którą się koronowali wszyscy królowie węgierscy — odrzekł Gar spokojnie.

— Jak waszmość śmiesz przychodzić z taką nowiną! — zawołała Elżbieta.

I zapomniawszy, jak zwykle w uniesieniu, o królewskiej powadze, zeskokczyła ze stopni tronu i z błyszczącemi z gniewu oczami biegła ku stojącemu tuż przy wejściu wojewodzie.

— Uważałem za stosowne donieść o tem najjaśniejszej pani...

— Donieść, donieść! — powtórzyła porywczo Elżbieta — a nie uważałeś za stosowne, aby świętokradzcę odszukać!

— Owszem, poczyniłem wszelkie kroki ku temu, są nawet pewne poszlaki!...

— Pasy drzeć! kołem łamać złoczyńcę! — przerwała Elżbieta.

— Rozkaz waszej królewskiej mości będzie wykonany, jak tylko odnajdę winnego.

— Jakto, mówiłeś, że są poszlaki?

— Poszlaki, lecz nie winowajca...

— I waść stoisz tutaj miasto szukać zbrodniarza! — zawołała, przystępując do spokojnego na pozór Gara, jak gdyby go chciała za drzwi wyrzucić.

— Zręczniejsi odemnie szukają skarbu i zbiega — odparł wyniośle wojewoda.

I zaraz dodał:

— Jeżeli moje usługi najjaśniejsza pani uważa za zbyt mało znaczące, niech raczy powierzyć całą sprawę gorliwszemu odemnie śludze.

I skłonił się, cofając ku drzwiom powoli.

— Na kogo macie podejrzenie o to świętokradztwo? — rzuciła Elżbieta, jakby nie słysząc tych wyrazów.

— Na studenta, któremu odźwierny pozwolił przepisywać dokumenty w pobocznej bibliotece.

— Uwięzić odźwiernego, uwięzić wszystkich, kto tylko był wtedy w zamku.

— Odźwierny zniknął, a wszelkich innych urzędników oraz stróżów według rozkazu waszej królewskiej mości oddalono jeszcze przed miesiacem, aby nie obciążać skarbu niepotrzebnymi wydatkami.

— Niema więc nikogo?

Gar w miejsce odpowiedzi zrobił właściwy ruch rękami i szeptem dodał:

— Ani żywej duszy.

Elżbieta, nie hamując swego wzburzenia, biegła po komnacie, wyrzucając z ust przepełnionych goryczą najobelżywsze wyrazy.

Gar przez chwilę patrzył na nią z pewnem politowaniem, wreszcie się odezwał:

— Przygotowania do koronacji najjaśniejszego Władysława Pogrobowca są już na ukończeniu.

— A korona? — zapytała Elżbieta, odrazu udobruchana.

— Zastąpimy ją choćby tą maleńką, którą najjaśniejsza pani raczyła od sługi swego przyjąć — odrzekł, schylając kornie głowę.

— Chcę, żeby się koronacya odbyła z największą wspaniałością; wspaniałością brak korony zastąpić.

— O ile krótkość czasu i niemowlęstwo jego królewskiej osoby na to pozwoli — rzekł Gar powoli i zaraz dodał: —

Wszelką wspaniałość możemy odłożyć do chwili dojścia do pełnoletności jego królewskiej osoby.

— Ha, kiedyć nie można inaczej — rzekła, zamyślając się Elżbieta. — Lecz chrzest musi być wspaniały! — zawołała stanowczo.

— Chrzest musi się odbyć jednocześnie z koronacją, inaczej żaden biskup do tej wielkiej uroczystości nie przystąpi — odparł z pobłażliwym uśmiechem wierny stronnik hrabiów cylejskich.

— Jakto, przecież jego wysokość cesarz niemiecki, Fryderyk III, jako brat stryjeczny świętej pamięci naszego małżonka, a stryj królewski... to chciałam rzec, najmiłościwiej mającego nami panować, Władysława Pogrobowca, obiecał trzymać go do chrztu! — krzyknęła, nie miarkując się królowa.

— Cesarz ma dużo spraw w tej chwili w swem państwie, wysłał więc zastępcę w osobie krewniaka swego, księcia Szwabii, który też niebawem przybędzie — rzekł Gar z układnym uśmiechem.

komnaty, roztrzając i przewracając stojące jej na drodze sprzęty.

Leżały więc na marmurowej posadzce ciężkie stołki, ławy, a sama nawet nie wiedząc co robi, ściągnęła wzorzystą oponę, okrywającą stół, na którym stała rzeźba ze słoniowej kości, przedstawiająca narodzenie Zbawiciela. Rzeźba, padłszy na podłogę, rozprysła się w kawałki, a ten, który włożył weń tyle pracy i prawdziwie artystycznego piękna, nie poznałby w tych szczątkach swojego dzieła.

— Chcę mieć taką samą rzeźbę do koronacji; robić jak najprędzej przygotowania! — zawołała.

I podrzuciwszy nogą walające się na podłodze przedmioty, szybkim a gwałtownym ruchem targała u przeciwnych drzwi zasłonę i wybiegła z komnaty. Silną zaś musiała być królowa, bo pod targnięciem jej ciężka zasłona wraz z rzeźbą, na której była zawieszona, spadła na ziemię.

Gar spojrział na królowę niechętnym wzrokiem, nachylił się nad potłuczonymi szczątkami ołtarzyka i mruknął:

Szkoda misternej roboty, aleć jeżeli za jej cenę mam nabyć władzę... Mamci takie cacko w zapasie — dodał.

I wyszedł uśmiechnięty, z głową wzniesioną do góry, jak gdyby tę władzę, o której marzył, dzierżył już w zupełności w swych dłoniach.

Przygotowania jednak do chrztu i koronacji dziecięcia dłużej trwały, aniżeli się wojewoda spodziewał. Co najgorsza, Ludwik, książę Szwabii, zastępca przy chrzcie cesarza, zwlekał



Fig. 64. Pierścienica osiadła w rurce pogiętej.



Fig. 65. Mszywiol morski. Ślągwa (Flustra). Wielkość naturalna.



Fig. 66. Wystrzebka (Cristatella) Mszywiol słodkowodny. Znacznie powiększony. Na ryc. widać 4 osobniki.

— Co, taka zmiana, bez naszego zezwolenia — krzyknęła, unosząc się gniewem Elżbieta.

— Najjaśniejsza pani raczy wybaczyć, jeżeli przypominę, iż nie było czasu słać posłów, że tylko na nadzwyczajnym pospiechu zwycięstwo stronnictwa naszego polega — tłumaczył Gar, nie ustępując na krok od raz powziętego zamiaru.

— Ja nie chcę zastępcy! chcę czekać na cesarza i stać! — zawołała gwałtownie Elżbieta.

— Ha, jak wola waszej królewskiej mości, ja nie nalegam.

To mówiąc, Gar skłonił się do samej ziemi i znów zbierał do wyjścia.

— Dokąd waści tak pilno? — rzekła królowa.

— Skoro koronacja jego królewskiej mości Władysława ma być odłożona, sądziłem, że w tej chwili nie będę potrzebny...

— Bez mego zezwolenia, niewolno odchodzić!

Gar skłonił się powtórnie, nie postąpił jednak ani kroku naprzód, dając poznać, iż wyczekuje rozkazu, który go uwolni od dalszego posłuchania.

Elżbieta tymczasem biegła szybkim krokiem dokoła

z przyjazdem. Niecierpliwiła się królowa, dwór cały chodził na palcach i starał się zgadywać jej myśli, mimo to popędliwa kobieta niecierpliwość swą na każdym osobno i na wszystkich razem z całą gwałtownością swego charakteru wywierała.

Często też wśród nocy budziła dwór cały, zrywała się, biegła do kołyski, wyjmowała śpiącą dziecinę, przymierzała na chwiejącą się główkę koronę i, kładąc na wysokiem krzesle króla-niemowlę, oddawała niskie pokłony i dworowi oddawać kazała. Próby takie zwykle kończyły się płaczem dziecka i gniewem królowej. *)

Niecierpliwiło to Gierdę, która ze swej strony miała potem nie mało kłopotu, aby dziecinę uspokoić i do snu błogiego ukołysać.

Raz po takiej uroczystości dziecinnie nad wyraz osłabło, z wątlých jego piersi zaledwie głos już wychodził, wreszcie oczki zaczęły mu bielmem zachodzić, a rzeżenie w gardle prze-rażało czuwającą przy nim niańkę.

— Jezus Marya! toć on już umiera! — zawołała prze-

*) Historyczne.

rażona. — I bez chrztu św. A toć to grzech ciężki! — do-
dała.

A nie namysławiając się wcale, pobiegła do swego krewniaka, który pełnił obowiązki stróża. Przywiodła go do kołyski, i po krótkiej naradzie poczęli odbywać chrzest, przy którym Domas zastępował świadka, a zarazem ojca chrzestnego. Ze zaś małego Pogrobowca od przyjścia na świat Władysławem nazywano, mówiła:

— Ja ciebie chrzczę, Władysławie, w Imię Ojca i Ducha świętego! Ojcem twoim chrzestnym, a także świadkiem, że nie schodzisz ze świata bez chrztu świętego, jest obecny tutaj Domas *) — dodała z wielkim namaszczeniem i powagą Gierda.

Zaledwie tych słów domówiła, gdy we drzwiach ukazała się królowa.

— Co to jest! morderce nasłano! — krzyknęła, ujrzawszy strwożonego jej widokiem Domasa.

I w przerażeniu chciała własnym ciałem okryć dziecko od wrzekomego niebezpieczeństwa.

Dziecię drgnęło nagle, a Gierda, nie chcąc je narazić na rzeczywiste przy opiece królowej niebezpieczeństwo, podrzuciła po swojemu ramionami i rzekła:

— Juści, tem wyciągnięciem dziecka po nocy, to go się i zamorduje, a toć już ledwo zipie.

— Co, co? chory? mój syn, mój król! — wołała naprawdę zatrzwożona matka.

— A jeno, tocieśmy go z Domasem ochrzcili, żeby czego Boże broń, nie zeszedł ze świata bez sakramentu.

— Ochrzczony, ochrzczone, bez ostentacyi, bez wspaniałości, mój syn, mój król! — wołała Elżbieta i jak stała w nocnej bieliźnie wybiegła, wołając:

— Syn mój, król mój! doktora!

Za chwilę dwór cały był na nogach, a doktor nadworny badał królewskie niemowlę.

Uczony doktor Repo wytężył całą swoją lekarską wiedzę, i udało mu się uratować królewicza. Lecz choroba była długa, i bez narażenia niemowlęcia nie można było nawet myśleć o odbyciu koronacyi.

Elżbieta z troskliwości o życie syna przechodziła w troskę o zapewnienie dlań tronu; to szarpanie się jednak królowej nie przybliżyło ani o dzień jeden koronacyi.

Nietylko zaś królowa, lecz i Gar zgrzytał zębami na tę poniewolną zwłokę, nie tracił jednak czasu na próżne oczekiwanie, lecz na wszystkie strony jednał sobie stronników. Ze zaś po śmierci Albrechta i Czesi zostali bez pana, umiał pozyskać sobie młodego lecz dzielnego hetmana Jerzego Podjebrada. Ten, sądząc, iż obraniem króla i ustanowieniem właściwej nad nim opieki, a więc i rządu, położy kres trapiącym

*) Chrzcić z wody w razie niebezpieczeństwa mocen jest każdy.

Czechy wojnom husyckim, zwołał sejm i pierwaj nim zdołano ukoronować Władysława Pogrobowca królem węgierskim, obwołano go w Pradze królem Czechów zaraz w pierwszych dniach września r. 1440.

W październiku zabłysło jakby wiosenne słońko, darząc ziemię ciepłem niezwykłym. Dziecię zaczęło przychodzić do siebie, uszczęśliwiona Elżbieta ponowiła swoje starania i trudy, aby koronacya odbyła się z jak największym przepychem. Ustawiono więc olbrzymi tron w starożytnej Budy katedrze, a rynek cały, przez który miał przejeżdżać król-niemowlę, zarzucono najpyszniejszymi kwiatami.

Ogrody i cieplarnie, zbudowane jeszcze za czasów rzymskich a przez długie wieki zupełnie opuszczone, od roku przy-

prowadzone z rozkazu Gara do porządku, dostarczyły kwiatów. Sprowadzono ich też moc wielką z południa; nie brakowało kwiecica przy koronacyi. Wóz, ciągnący królewicza na tę wielką uroczystość, pławił się wśród najpiękniejszych róż i jesiennych fiołków, co nawet wprowadziło w dobry humor Gierdę. Ona to bowiem właściwie napawała się ich zapachem, otulając dziecko przed zbyt czułą ich wonią.

Dzwony starej katedry grały od wczesnego ranka, lud zebrany na placach i w oknach rad był zobaczyć owego króla-niemowlę; widziano zaś tylko kwiaty.

A więc ktoś zawałał:

— Król-kwiatek jedzie!

— Król-kwiatek! — powtórzono, i wołanie to brzmiało dokoła, gdy Gierda, zstąpiwszy z wielką powagą z woza, wniosła do kościoła poduszkę z przysługą władcy Węgier. Długi obrządek koronacyi starano się o ile można skrócić przez wzgląd na młodociany wiek koronowanego. Mimo to Elżbieta była uszczęśliwiona, gdy włożono na poduszkę, w której się ukrywało niemowlę, przyniesioną przez Gara koronę.

— Nie jest ci to korona królów węgierskich, ale korona umyślnie dla mego syna zrobiona—myślała sobie.

— A i tę pierwszą odnaleźć i powtórzyć koronacyę musimy. A wracając z kościoła po koronacyi, okryła poduszkę z dziećciem długą, włokącą się purpurą i z wielką pychą pokazywała ją ludowi.

Zagrzmiały dokoła okrzyki, gdy nagle głos jakiś się ozwał:

— Purpura, korona i kwiaty, a kędyż król?!

I tysiące piersi powtórzyło:

— Purpura, korona i kwiaty, a kędyż król?!

VII.

Dążących do Krakowa posłów węgierskich również spotykały niepowodzenia. Uniknęli wprawdzie pogoni i zdołali ukryć koronę, lecz Andor znikł znów bez śladu. Ujłakima martwiła nieobecność wychowańca, a Kopaszad mimo



Tymczasem zbliżali się do zatoki Disko... (str. 87).

dobrego przyjęcia u Sandorowego szwagra nie odzyskiwał dobrego humoru.

Coraz więcej bowiem przekonywał się, iż trzeba im tłumacza, bo węgierskiej mowy nikt poza granicą ich kraju nie rozumiał. Przemawiano wprawdzie do nich po łacinie, lecz obadwaj posłowie i tego języka nie rozumieli, młodzieńca zaś, który miał być tłumaczem, jak nie było, tak nie było.

Chmurni więc, nieoczekiwani przez nikogo, stanęli w Krakowie. Nie mając dla siebie przygotowanego mieszkania, musieli stanąć w pierwszym lepszym zajeździe.

Poszukiwać czegoś pokażniejszego nie mogli — oprócz bowiem trudności w porozumieniu się, zmusił ich do tego deszcz ulewny i chłód niezwykły, który przez ostatnie dwa dni dał im się strasznie we znaki. Wiecha nade drzwiami wskazywała winiarnię, co rozjaśniło oblicze wiecznie spragnionego Kopaszada. Zasiadł też zaraz przy dzbanie doskonałego miodu i mlaskając językiem, powtarzał

— No, no, taki, a może i lepszy od naszego.

I zachęcał Sandora do wypicia, lecz ten zafrasowany, milcząc chodził po izbie i nie odpowiadał ani słowem, ani czynem na zachętę towarzysza i z tą chmurą spać się położył.

Nazajutrz wczesnym rankiem Ujlakim obudził Kopaszada, mówiąc:

— Mamyć pismo, trzebaby z nim do biskupa.

— A trzeba — odrzekł Kopaszad — lecz pierwszej trzebaby się posiłić. Głowa nic nie wymyśli, póki ręka nie poda. I kazał podać dzban miodu.

— Trzeba nam się przystojnie odziać — rzekł Ujlakim i rozkazał pacholce rozpakować podróżne septy.

— A wiemyż to, gdzie jego dostojność mieszka? — zapytał Kopaszad, wysączając ciemno-złoty płyn z cynowego kubka.

— Byłem ci tutaj lat temu kilka, może się jako trafi — odrzekł Ujlakim, przywdziewając bogate szaty.

W jakiś czas potem, a było to już późnym rankiem, obadwaj posłowie przystojnie odziani skierowali się w stronę, kędy strzeliste wieżycy kościoła Panny Maryi, wskazywały, iż tam musi być środek miasta. Zresztą Ujlakim powiedział, że tam jest rynek i sukiennice. One to imponującą swą budową wskazywały, że jeżeli nie sercem, to przynajmniej są wnętrzem miasta. Tutaj też rzeczywiście skupiało się życie i ruch całego grodu.

Wśród snującego się tłumu spodziewali się znaleźć kogoś, kto by ich mowę rozumiał i w braku nieobecnego Andora za tłumacza mógł służyć.

Zamek, górujący na Wawelu, ukazywał siedzibę monarchy, że zaś wiedzieli, iż za młodziutkiego króla biskup Zbigniew sprawuje rządy, minęli drogę, wiodącą do zamku, i puścili się ulicą Grodzką. Przechodnie przypatrywali się im z ciekawością; zbroje bogate, złotem szamerowane nęciły wzrok najobjętniejszego nawet mieszkańca. Nikt zaś byłby w nich nie poznał skromnych podróżnych, którzy niedawno jeszcze siedzieli na przedmieściu w zajeździe pod wiechą.

Kopaszad, w długich, ciemnych, bramowanych jakąś butach, w bekieszy ciemno-wisniowej, zarzuconej na zieloną czamarkę, szamerowaną złotem szedł, sapiąc ze znużenia. Czamary dawno nie miał na sobie, musiał ją więc, jako też i dolne ubranie, doskonale przyciągnąć, bo postać jego z każdym dniem okazalszą się stawała.

Nie mógł więc zdążyć za szczupłym i przywykłym do ruchu podczas ćwiczeń wojennych dowódcą honwedów.

— Bracie, a zacy towarzyszu, weźcie chociaż ten pergamin, boć mi on dyabelnie na piersiach dolega!

To mówiąc zdjął zółtą z cielecę skóry ze stylpami rękawiczkę, z trudnością odpiął złote guzy czamary, wyjął zsuniętą za szamerunek pergamin i oddał go Ujlakimowi.

Ten, nic nie mówiąc, nie odpinając nawet wielkich opalowych, w złoto oprawnych guzów, zasunął pergamin, który na granatowym tle czamary, wśród szamerunku złotego patrzył swą żółtawo białą powierzchnią na zasnutę mgłą jesienną miasto, jakby chciał powiedzieć:

— We wnętrzu mojem kryje się tajemnica, od jej spełnienia braterstwo i pomyślność dwóch ludów zależy.

Kopaszad tymczasem, zdjąwszy okragłą z białem piórem czapkę, wnętrzem rękawicy ocierał pot, spływający z czoła wielkimi kroplami na rumiane, wydatne policzki.

— Phuu! wąsy mi się do dyabła rozkleją — rzekł, ogładając czarną smugę na rękawicze.

(d. c. n.)

SPIŻARNIE ROŚLIN.

Alboż to rośliny zbierają zapasy pożywienia na wzór ludzi lub nawet zwierząt? zapyta może który z czytelników Wieczorów.

Tak jest, rośliny zbierają pożywienie na przyszłość, gromadzą je w niektórych swoich częściach, a zawsze w celu żywienia już nie siebie, lecz swego potomstwa, to jest przyszłych roślinek, zawartych pierwotnie w nasionach. Zwierzęta karmią swe małe, zanim te niedołęzne początkowo stworzenia potrafią same sobie zdobyć pożywienie. Roślina również przygotowuje zapas pożywienia dla maleńkiej rośliny; jako przykład niech nam posłuży ziarno fasoli lub grochu, jeśli zdejmujemy z takiego ziarnka twardą łuskę, zobaczymy pod nią dwie półkuliste masy, zrosnięte z maleńkim załączkiem, który w przyszłości rozrośnie się w dwóch przeciwnych kierunkach, tworząc w jednym korzeń, w drugim łodygę; te dwie półkuliste masy noszą nazwę *liścieni* i one to karmią roślinę, której korzeń jest jeszcze zbyt wąty, aby mógł samodzielnie ciągnąć z ziemi soki.

Aby jednak owe liścienie mogły spełnić swoje zadanie, trzeba rozpuścić w wodzie ich pożywne części, to też ziarno fasoli czy grochu doskonale może kiełkować w szklance z wodą, byleby tylko pewna jego część wystawała ponad płyn, w przeciwnym bowiem razie łodyżka, potrzebując do życia powietrza, rozwinąć by się nie mogła. Roślinka póty w wodzie żyć może, póki jej liścienie dostarczają pożywienia, gdy jednak wyczerpią się zapasy w tych spiżarniach złożono, wtedy więdnie, gdyż samą wodą żyć nie potrafi, muszą w niej być rozpuszczone części mineralne, ziemne. Nietylko w ziarnku fasoli, lecz i w każdym innym znajduje się taki zapas jedzenia dla młodziutkiej rośliny.

Wiele bardzo roślin posiada nie dwa lecz jeden liścień, na przykład daktyl, w którym załączek zrosnięty jest z jedną twardą masą. To też rośliny kwiatowe, choć przecie wiele roślin kwiatów wcale nie posiada i o tych wcale tutaj nie chcemy mówić, dzielą botanicy na dwie wielkie grupy: jednoliściennych i dwuliściennych,

Rośliny, których liście zwięzione są w kształt igieł i dlatego noszą nazwę iglastych, miewają po kilka liścieni, zrosniętych z załączkiem.

Wszystkie zaś rośliny cebulkowe mają zapas pożywienia, złożony w zgrubiałych osadach liści; takie rośliny możemy wyhodować w wodzie, gdyż nietylko pierwsze listki i korzonek, ale cała roślina wyciąga pożywienie z zapasów, złożonych w cebuli. Takimi zapasami są też bulwy, czyli mięsiste zgrubienia łodyg i korzeni. Nasze kartofle są właśnie bulwami, które obficie pokrywają nie korzeń rośliny, lecz jej podziemne łodygi. Na każdym kartoflu widzimy małe zagłębienia, a w nich umieszczone pączki; to też z każdego kartofla może wyrosnąć tyle osobnych roślin, ile jest na nim tych pączków; zanim wypuszczą one korzonki, żywią się mięsistą bulwą, niby zwykły załączek roślinny liścieniem.

A. M.

WYPRAWA DO GRENLANDYI

i

bieguna północnego.

(Dalszy ciąg.)

Na szczęście warstwa śniegu nie była zbyt wielka, i po kwadransie pracy udało się Swoltowi wpuścić do namiotu trochę światła.

Następnych dni podróż odbywano również pomyślnie, posługując się wiatrem i żaglami, co ją o połowę przyspieszało. Droga prowadziła ciągle w dół, więc i ludzie, biegnący koło sani na „skich”, zupełnie nie czuli zmęczenia.

Jednego wieczoru rzekł Reynolds:

— Czy wiecie, że za dwa, trzy dni dojdziemy do Christianshaab?

— Wiwat! — zawołał Collin.

— Nie ciesz się tak bardzo, bo Christianshaab to jeszcze nie Szkocya.

— O to najmniejsza, damy sobie jakoś radę.

— To prawda, ale teraz chciałbym wam coś powiedzieć, słuchajcie.

— Co takiego? co takiego? — rozległo się ze wszystkich stron.

— Myśl, którą się chcę z wami podzielić, nie teraz powstała w mojej głowie; nieraz, kiedyście wszyscy spali, ona mi spokoju nie dawała, leżałem z otwartymi oczami i doszedłem do przekonania, że tylko jedną drogą można odkryć biegun północny.

— Co takiego? — zawołał Józef — pan chce iść do bieguna.

— Nie teraz, uspokój się, Joe, ale jeżeli mi innym razem zechcecie towarzyszyć, to was z miłą chęcią przyjmę.

— Naturalnie, że pójdziemy wszyscy z panem. Nieprawdaz?

— Tak nam dobrze razem było — rzekł Olaf.

— Jesteśmy cali i zdrowi — dodał Collin.

— Za to dziękujemy Bogu, bo to On nas od choroby i nieszczęścia uchronił. A teraz uważajcie. Musieliście słyszeć i ode mnie i od Józefa, żeśmy nieraz odbywali podróże na Ocean lodowaty w okolice Szpicbergu, i raz nawet lody nas otoczyły, musieliśmy zimować.

— Nie mieliśmy już wcale nadziei, że wrócimy do domu — dodał Józef.

— To prawda, ale nie dawaliśmy załodze upadać na duchu. Na szczęście mieliśmy dosyć drzewa na opał. Ale skąd to drzewo pochodziło? Nie ze Szpicbergu, bo tam nawet mech nie rośnie, i nie było to drzewo skamieniałe, lecz świeże, przyniesione przez prądy. Jestem głęboko przekonany, że je rzeki syberyjskie spławiły do morza, a potem na falach dostało się aż na tę pustą wyspę.

— Więc to dowodzi, że prądy istnieją. Ponieważ zaś znane są morza Syberyi i Ameryki, bliżej leżące, i żoglarze wiedzą, że tam takich prądów niema, muszą więc one przechodzić bliżej bieguna, kto wie, czy nie przez sam biegun. Gdybyśmy mieli mocny statek, zaopatrzony na kilka lat, moglibyśmy wpłynąć między lody, a po pewnym czasie prąd uniósłby nas z lodowcem na drugą stronę bieguna. Na dziś już więcej nic nie powiem — dodał po chwili — bo i tak będziecie mieli o czem myśleć.

XI.

Morze wschodnie. — Spotkanie.

Teraz, kiedy lody zostały przełamane, Reynolds często wracał do swoich projektów, i wieczorami przed zaśnięciem

toczyły się długie rozmowy o szczegółach przyszłej ekspedycji.

Nasz kapitan w głębi ducha tryumfował, że udało mu się pozyskać towarzyszy, obawiał się drwinek Józefa, a bardziej jeszcze milczenia Sigurda; gdyby ten zawołany marynarz, który tak dobrze znał Grenlandję i ocean lodowaty, pokiwał głową z niedowierzaniem — odwaga odstąpiłaby Reynoldsowi. Ale Sigurd chętnie mówił o wyprawie i robił uwagi, które nie przyszły na myśl Reynoldsowi.

Tymczasem zbliżali się do celu podróży, do zatoki Disko, która, choć położona na tak dalekiej północy, latem ożywia się, i brzegi jej pokrywają się zielonością. Ale lato już minęło. Dni stawały się coraz krótsze, i noce były bardzo chłodne nawet nad brzegiem morza.

Marynarze, zajmujący się łowem wielorybów, zatrzymują się tam zwykle, aby w osadach nadbrzeżnych uzupełnić zapasy żywności.

Niepodobna mi jest opisać wrażenia, jakiego doznali nasi podróżnicy, patrząc ze szczytu stromej skały na zieleniącą u stóp ich kotlinę, na domki osady, a zwłaszcza na statek, który stał na kotwicy, o parę kilometrów od brzegu.

Z tak daleka niepodobna było rozróżnić jego narodowości, ani pochodzenia, a że wieczór nadchodził, Reynolds kazał po raz ostatni rozpiąć namiot, i podróżni, noc tę spędzili jeszcze wśród skał i lodów.

Z jaką radością witali ich nazajutrz mieszkańcy duńskiej osady, to wypowiedzieć trudno, ale jeszcze większa radość czekała ich, kiedy do brzegu przybiła łódź okrętowa, a z niej wysiadł lord Daybreak we własnej osobie.

— Jak się macie — zawołał — prawda, żeście się nie spodziewali widzieć nas tak prędko. Mieliśmy po wysadzeniu was na lód wracać do domu, ale spotkała nas burza, która nas zapędziła w te okolice, więcśmy sobie powiedzieli: Kiedy tak, to dopłyniemy do zatoki Disko i zabierzemy ich na pokład.

— Serdecznie panu dziękujemy — rzekł Reynolds.

— Niema za co. Przyznam się panu, że żegnając was z tamtej strony Grenlandyi miałem bardzo słabą nadzieję, że się kiedykolwiek zobaczymy. No, a teraz chodźmy na statek, zaraz nam obiad podadzą.

Lato już się miało ku końcowi, i z obawy, żeby lody nie zamknęły drogi, lord Daybreak kazał zaraz podnieść kotwicę i odpłynął na południe.

Kiedy po krótkiej i szczęśliwej podróży przybyli do Aberdeen, na powitanie ich wyszli nie tylko znajomi, ale wysypała się cała ludność, ciekawa oglądać nieustraszonych wędrówców.

Matka Olafa ze łzami witała swego chłopca, który wracał mężczyzną, nie lękającym się trudów i niebezpieczeństw. Pannie Dewar, ciotce Collina, także chciało się płakać z radości, lecz się opanowała i jak przystoi dzielnej Szkotce, tylko uścisnęła go mocno za rękę.

Chłopcy nic nie mówili z początku o projekcie Reynoldsowi, aby nie trwożyć rodziców i opiekunów, ale co noc śniły im się góry lodowe i zorze północne.

XII.

Przygotowania do drogi.

W rok po powrocie do Aberdeen ochrzczono statek, który lord Daybreak zamówił w jednym ze znaczniejszych warsztatów okrętowych, aby w nim odbyć podróż do bieguna północnego. Dano mu imię „Nieustraszony”, gdyż istotnie trzeba było niezwykłej odwagi, aby się puszczać w tę podróż. Był to okręt niewielkich rozmiarów, gdyż obejmował najwyżej 1000 ton, śrubę poruszała maszyna o sile 200 koni, czuwało nad nią dwóch maszynistów, Szkot i Anglik, obaj ludzie młodzi i dzielni, a jak się wpięrow przekonał Reynolds, obeznani ze swoim fachen. Pod pokładem znajdował się salon i cztery kajuty. Jedną z nich zajmował Józef i doktor, drugą Collin i Olaf, trzecią Sigurd i dwaj inżynierowie, czwartą

pozostawiono dla lorda Daybreak, który miał się przyłączyć do wyprawy przy ujściu Leny. Kajuta Reynoldsa, jako kapitana, mieściła się na pokładzie, obok steru. Ponieważ podróż miała trwać lato całe, Daybreak zaopatrzył się w bibliotekę, zawierającą dzieła treści naukowej, podróże i kilka powieści, w salonie znajdował się też fortepian i skrzypce, gdyż obaj inżynierowie znali i lubili muzykę, a także Collin i Olaf nieźle grali na fortepianie.

Co do zapasów, to składały się one przeważnie z konserw mięsnych i bulionów, aby w jak najmniejszej objętości zawierały największą ilość pożywienia.

„Dobry i dobrze kierowany statek”, kiedy to zdanie słyszemy wypowiedziane przez doświadczonego marynarza, to w nas otucha wstępuje, zwłaszcza wśród burzy.

„Dobry i dobrze zbudowany statek”; aby mieć o tem pojęcie, przenieśmy się w myśli na pokład „Nieustraszonego”. Zobaczmy wszystkich przy robocie, nie wyłączając doktora, który ciągnie z całej siły linę, przytrzymującą trójkątny żagiel, aby go zniżyć, bo huragan dmie tak; szalony, że najmniejszy kawał płótna grozi okrętowi zatopieniem. „Nieustraszonego” raz znajduje się na szczycie olbrzymiego bałwanu, to znów znika na dnie przepaści, a fala zakręca się nad nim i zalewa cały pokład wodą. Co za trzask! zdawałoby się, że „Nieustraszonego” ulegnie rozszalałemu morzu, lecz po chwili trzask ustaje, i statek znów się wznosi na szczyt fali. A wiatr tymczasem ryczy, świszczce, wyje jak wilk, chichocze jak hyena; chwilami nie słychać go, zdaje się ustał, lecz znów nadlatuje z nową gwałtownością i macza szczyty masztów w pianie morskiej.

Na niebie świeci księżyc, co chwila przyćmiony mglistymi chmurami. Lecz i księżyc i chmury zdają się skakać po niebie, księżyc, jak pijany, zatacza się to w prawo to w lewo, maszty statku wykonywają piekielny taniec, istny chaos!

Jeżeli mamy dosyć przytomności, aby myśleć o czemśkolwiek, to myślimy o śmierci i polecamy się Bogu, bo On jeden może nas uratować i, choć się nam zdaje, żeśmy rzućeni na pastwę rozszalałego żywiołu, On wie o nas i bez jego woli włos nam z głowy nie spadnie.

Kapitan stał na przodzie okrętu, rękami i głosem wydawał rozkazy. Gesta jego często ginęły w ciemności, głos wiatr zagłuszał, lecz dzielni majtkowie znali swoją powinność i wiedzieli, co każdy ma czynić. U steru co godzinę dwóch ludzi się zmieniało, bo żadnemu nie starczyły siły na dłuższą pracę. Statek pędził z przerażającą szybkością, na szczęście burza nadeszła od południa i gnała go we właściwym kierunku.

Nareszcie nadszedł ranek, wicher znacznie opadł, lecz morze wzburzone wciąż się bałwaniło. „Nieustraszonego” dzielnie się oparł nawałnicy, bo, wyjąwszy jedną łódź, którą woda zabrała, i zniszczony parapet, nie znalaziono żadnych szkód.

— Cóż Joe — rzekł Reynolds, zasiadając do śniadania — co powiesz o naszym statku?

— Myślę, że na nim łatwiej odbędziemy naszą podróż, niż na najlepszym okręcie jej królewskiej mości.

— W każdym razie łatwiej się przemkniami między lodami.

Morze powoli się uspokajało, lecz wiatr dał bez ustanku z południa. „Nieustraszonego” opłynął przyładek Północny i zeglował po morzu Barenta.

Naprawiono parapet, Sigurd opłakał stratę łodzi, lecz pocieszył go widok trzech innych, zwieszających się nad pokładem, i życie popłynęło zwykłym trybem. Po pracy wieczorem zbierano się w salonie, gdzie obaj maszyniści grali na fortepianie i na skrzypcach, a reszta, zasiadłszy wokoło kominka, rozmawiała o przeszłej podróży i przyszłych nadziejach.

Razu pewnego, kiedy tak wszyscy spokojnie gawędzili, rozległ się krzyk na pokładzie: *Łód! łód* przed nami! a wtedy właśnie z powodu gęstej mgły nie można było nic dojrzeć. Kapitan rzucił się do steru i razem ze sternikiem obrócili koło; gdyby nie jego przytomność, statek roztrzaskałby się o ławicę.

W ten sposób dopłynęli w okolice Nowej Ziemi, lecz z powodu mgły nie mogli wyspy zobaczyć. Tu całe morze było zasiane odłamami lodowemu, które, choć niezbyt wielkich rozmiarów, groziły okrętowi zdruzgotaniem. „Nieustraszonego” robił teraz zaledwie dwa węzły na godzinę, a to z powodu ustawicznego lawirowania i ocierania się brył o boki statku.

Huk, jaki z tego powodu powstawał, nie da się opowiedzieć. Zdawałoby się tym, którzy siedzieli w salonie, że ze wszech stron jakaś nadludzka siła bije o okręt młotami.

Ale Reynolds najbardziej się lękał wielkich gór lodowych, które jednego dnia spotkano w tak znacznej ilości, że kapitan chciał już zwinąć żagle, zapalić pod kotłami, żeby być więcej panem okrętu. Jednakże, dzięki wielkiej czujności, przybyli szczęśliwie do cieśniny Jugor i zarzucili kotwicę w pobliżu małej rybackiej wioski u stóp wysokiej skały. Co to była za radość dla marynarzy, kiedy wyszli na brzeg, porośły mchem, przez który gdzieniegdzie przegładły dzikie kwiaty.

Reynolds przed rozpoczęciem podróży umówił się z Norwegczykiem, którego spotkał w Edyburgu, ażeby mu dostarczył psów do ciągnięcia sani. Psy te miały czekać na przybycie Nieustraszonego w zatoce Jugor. Wieczorem, kiedy się wszyscy spać pokładli, dało się słyszeć na wybrzeżu wycie, szekanie, jak gdyby całe stado wilków miało napaść na okręt. Po chwili z ciemności wynurzyła się łódka, w której płynął człowiek i dwa psy.

Przybił do okrętu i kazał się zaprowadzić do kapitana, a za nim jak dwa cienie posuwały się te dwa kudłate potwory.

— Jakto, nie przyprowadziłeś mi więcej psów — zapytał zdziwiony kapitan, poznając w przybyłym Norwegczyka Snydersa, obiecałeś mi przeciw dwadzieścia.

— Są wszystkie na brzegu, ale nie mogłem ich przeciw wziąć do łodzi.

Człowiek ten od dwóch tygodni wyglądał przybycia okrętu, mieszkał w tem odludziu i żywił się rybami i mięsem fok. To też wyglądał strasznie. Oczy miał wpadnięte, twarz wychudzoną, tylko kości policzkowe wystawały, pociągnięte wyschłą brunatną skórą.

(d. c. n.)

Przypominamy o wczesnem ODNOWIENIU PRENUMERATY, na kwartał II-gi dla uniknienia zwłoki w przesyłce Pisma.

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rocznie rs. 4, z przesyłką pocztową rs. 5 — stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna. Rocznie w Austrii 10 koron, w Prusach marek 10; — stosownie do tego półroczna i kwartalna.

ADRES REDAKCYI, ULICA Mazowiecka Nr. 10 NOWY.

TRZEŚĆ: Mysza wieża (z ryc.) — Życie w oceanie przez Dr. M. Stefanowską (z ryc.) — Królewicz, powieść z XV wieku przez Z. Morawską. — Spiżarnie roślin przez A. M. — Gordona Stables, Wyprawa do Grenlandyi i bieguny północnego. — Dodatek: Młotek i gwoździe (z ryc.) Halinka, wiersz przez Helenę Bojarską. — Zegarek mamy, komedyjka w jednej odsłonie. — Bez domu. — Łamigłówni i rozwiązania. Skrzynka do listów. Dodatek książkowy: Wśród chmur i słońca, przełożyła z angielskiego Marya B.

Redaktorka Ludwika Hauke. Доволено Цензурою. Варшава 24 Февраля 1897 г. Wydawczyni Marya z Chomętowskich Balińska.

WIECZORY RODZINNE

MŁOTEK I GWOŹDŹ.

— To wina gwoździa! — wołały chórem złożone w pudełku narzędzia stolarskie.

Gwoźdź był z natury swojej przekorny, jeżeli go o co strofowano, to winę zwykł był składać na drugich. Przytem grzeszył zarozumiałością.

— Ba! — mawiał — gdy mu młotek szorstkość obejścia wyrzucał — co ty znasz w świecie! Przecież tylko mego ojca wybrano do przybicia posadzki, na której miała tańczyć królowa. Ty zaś jak zwykle podrzędna odgrywałeś wtedy rolę! Gdy ułatwiasz robotę, chowają cię do skrzyni i na tem koniec. Mój ojciec całą noc znajdował się u stóp królowej i zachował nawet na pamiątkę po niej, kawałek koronkowej sukni.



— Nie było to wcale grzecznie z jego strony, drzeć kosztowną suknię — zauważył młotek.

— A skądże wiesz, że ojciec ją podarł? — zaprzeczał gwoźdź. — Królowa sama mu tę pamiątkę ofiarować mogła...

— Ktoby tam zechciał temu wierzyć! — ozwały się inne narzędzia.

— Eh! to zazdrość przez was przemawia tylko — rzekł gwoźdź.

— Zazdrość o kogo? — zawołał z gniewem młotek — o nędzne gwoździe, których całą kopę kupić można za parę groszy! — i parsknął śmiechem.

Gwoźdź zamilkł, ale zapamiętał wyrządzoną sobie zniewagę i przy każdej sposobności mścił się na młotku.

Wkrótce potem narzędzia zaczęły się sprzeczać, które z nich najpożyteczniejsze, a młotek dowodził, że jest w daleko częstszym użyciu od innych.

— Śmiem temu zaprzeczyć — wołał gwoźdź z prze-

kąsem — nas głównie ludzie potrzebują, a ty jedynie do pomocy bywasz dla nas wzywany, choć masz tak wysokie o sobie wyobrażenie.

— Biłem ja po głowie nie mało twoich współpraców — odparł młotek w największym gniewie — i z tobą uczynię to samo.

Gwoźdź zadrżał wspomniawszy o groźącym mu od młotka niebezpieczeństwie.

— Jak on nie umie delikatnie obchodzić się z drugimi! — myślał w duchu, ale stał się na raz daleko grzeczniejszym. Nie długo to jednak trwało, i w końcu znów był zaczepnym i swarliwym. Wszystkie też narzędzia ucieszyły się bardzo, gdy chłopczyk, ich właściciel zajrzał do swej skrzynki; ufali, że on im spokój przywróci. Wyjmował z kolei każdą sztukę, aż natrafił na młotek, który na bok odłożył.

— Będiesz mi potrzebny — rzekł półgłosem — poszukam tylko jeszcze gwoździka, którym przytwierdzę oderwaną ze stołu ceratę.

Była to pożądana dla młotka wiadomość.

— Ha! mój niegrzeczny paniczu, porachujemy się teraz z sobą — zawołał.

Gwoźdź przerażony schował się w najciemniejszy kąt skrzynki, sądząc, że skryje się przed wzrokiem chłopca, ale ten spostrzegł go zaraz i wraz z młotkiem poniósł do pokoju szkolnego.

Jakże pokornie błagał gwoździk o przebaczenie! nielitościwy młotek śmiał się z niego tylko, mówiąc:

— Wszakże obiecywałem, że przy pierwszej sposobności bić cię będę po głowie.

I to rzekłszy, pod ręką chłopczyka młotek tak silnie w gwoźdź uderzał, że ten znikł pod drzewem, a tylko żółta, płaska jego główka, widoczną pozostała. Młotek powróciwszy do towarzyszy swoich, opowiadając smutne losy gwoździka, zakończył uwagę: — Tak to zawsze bywa, prędzej czy później, każdy odpokutować musi za swoją zarozumiałość.

HALINKA.

— Cóż to za miłe dziewczę z Halinki,
Nigdy nie miewa skrzywionej minki,
Ani się dąsa, ani się maże,
I robi wszystko, co mama każe.
Zawsze zajęta jakąś robótką,
Lub też z książeczką siedzi cichutko;
A gdy się oto pobawi czasem,
To grzecznie, ładnie, nigdy z hałasem.
Mama Halinkę kocha nad życie,
Bo warta tego, sami widzicie.

Helena Bojarska.

ZEGAREK MAMY.

KOMEDYJKA W JEDNEJ ODSŁONIE.

(Dokończenie).

SCENA V.

(*Stefcia przez chwilę stoi w milczeniu i patrzy ciekawie na pudełko.*)

STEFCIA (*z płaczem*). Stefcia boi się tego dziada!... Brzydki dziad, niedobry, bo dzieci do torby zabiera... Stefcia wyrzuci pudełko i dziada nie będzie. Aha!... (*po chwili*). Ale za okno nie można wyrzucać, bo kto podniesie, dziad wyskoczy i przyjdzie tutaj... Ale Stefcia wie, co zrobić. W podwórzu jest studnia głęboka, to jak tam pudełeczko wleci, to dziad się utopi... Ale jak wziąć pudełeczko, żeby nie nacisnąć sprężynki? (*Namyśla się*). Już wiem! Nie będę wcale dotykać paluszkami... (*Wyjmuje z kieszeni chusteczkę, rozkłada na krzeselku, potem ostrożnie zsuwa pudełko książką ze stołu. Zawija w chusteczkę i szybko wybiega. Wchodzi Melanka z Kazią.*)

SCENA VI.

MELANKA. No, i cóż to będzie? Godzinę całą myśli-
my, żeby wynaleźć sposób na tego Janka kłamcę, i nie
wymyśleć nie możemy.

KAZIA. A, bo ty na nic zgodzić się nie chcesz, już
tyle sposobów podawałam.

MELANKA. Tylko, że wszystkie są niedorzeczne.

KAZIA. Więc dlaczegoż nie wymyślisz czegoś do-
rzeczniejszego.

MELANKA. Bo, jak na złość, nic mi takiego na myśl
nie przychodzi.

KAZIA. A widzisz!... A odemnie żadasz czegoś nad-
zwyczajnego!

MELANKA. Ech! wiesz co, Kaziu? dajmy spokój Jan-
kowi, niech sobie okłamuje wszystkich, kiedy mu się tak
podoba!...

KAZIA. Jednakże, jakby to było przyjemnie, żeby
on przestał kłamać; przecież to nasz brat, przykro słuchać,
jak wszyscy na niego narzekają. A jakby się mama ucie-
szyła z poprawy Janka!

MELANKA. Prawda, prawda! Ale cóż robić, kiedy
sposobu na niego znaleźć nie można? Może kiedyś, pó-
źniej, przyjdzie nam na myśl coś dobrego i skutecznego.

KAZIA. Niema innej rady, jak tylko czekać cierpli-
wie końca. (*Wbiega Janek.*)

SCENA VII.

JANEK (*trzymając się za głowę, biega prędko po scenie*).
Boże! co ja zrobiłem! Co ja zrobiłem! O! ja nieszczęśliwy!
Ja sobie tego nigdy nie daruję!...

MELANKA. Janku, co tobie? Co się stało?

KAZIA. Z pewnością, jakie nowe kłamstwo wymy-
ślił. Nie wierz mu, Melanko, on udaje.

JANEK. Udaje! Dobrze ci tak mówić, ale gdybyś
była w mojem położeniu, to zalewałabyś się gorzkimi
łzami.

KAZIA. Więc mów, co się stało?

JANEK. Stefcia utopiła...

MELANKA (*przeżrana*). Janku, co mówisz? Stefcia
się utopiła! Ach! Boże! Boże!

KAZIA. Nie wierz Melanko!... Wstydziłbyś się Jan-
ku, tak kłamać!

JANEK. Ależ ja wcale nie kłamię...

MELANKA (*z płaczem*). Więc Stefcia naprawdę uto-
piona?

JANEK (*niecierpliwie*). Ach! Boże! Pozwolicz mi
przyjść do słowa. Stefcia żyje...

MELANKA. Dzięki Bogu!

JANEK. Tylko zegarek utopiła w studni.

KAZIA. Jaki zegarek?

JANEK. Ten złoty, mamy pamiątkowy.

MELANKA. Jakim sposobem?

JANEK. Ja ją okłamałem, że tam dziad jest zam-
knięty...

KAZIA z MELANKĄ (*razem*). A widzisz! Nie kłam!

JANEK. Dopóki żyć będę, nie skłamię ani jednym
słówkiem! Ach! Boże! Jaki ja nieszczęśliwy!... Nie
uwierzcie, jak mi przykro. Co mama powie? To taka
droga była pamiątka.

MELANKA. Mama tak lubiła ten zegarek!

JANEK. Ach! Już mi nie mów o tem! Ja się ma-
mie na oczy nie pokażę! Mama musi być bardzo zagnie-
waną! (*Wchodzi Wojciechowa.*)

SCENA VIII.

WOJCIECHOWA. Jest tu Janek, to dobrze bo szukam,
biegam wszędzie, aż się zmęczyłam.

JANEK. A czego Wojciechowa chciała ode mnie? Czy
mama już wie o wszystkim?

KAZIA. Bardzo jest zagniewaną na Janka?

WOJCIECHOWA. Zaraz, zaraz; powoli powiem wszy-
stko. Mama, chociaż jej bardzo przykro, że straciła pamiąt-
kowy zegarek, jednak zagniewaną teraz już nie jest.

JANEK. Doprawdy? Ach! jaka ta mama dobra!

WOJCIECHOWA. Ale jeszcze nie wszystko powie-
działam, kara Janka nie minie.

JANEK. Ach! to nic, to nic! Niech będzie kara
najcięższa, zasłużyłem na nią.

WOJCIECHOWA. Mama powiedziała, że całe to zda-
rzenie opowie cioci Józi, a ciocia opisze je w Wieczorach
Rodziny.

MELANKA. Naprawdę?

WOJCIECHOWA. Tak, tak, i jeszcze mama mówiła,
że gdyby się Janek poprawił, to cała wina byłaby na-
prawioną.

JANEK. Ach, Wojciechowa! Ja już nigdy! nigdy
nie skłamię!

KAZIA. Ale będziesz opisany w Wieczorach; czy
nie wstydzisz się?

JANEK. Wolałbym, żeby ludzie nie wiedzieli o tem,
że byłem kłamcą, ale kiedy mama taką karę naznaczyła,
poddaję się jej z pokorą. Może to i dobrze będzie. Gdy

czasem przyjdzie ochota skłamać, przeczytam zaraz, co tam wydrukowali o mnie w Wieczorach, i odechce mi się kłamstwa. A rówieśnicy moi będą mieli przestrożę, żeby się nigdy nie mijali z prawdą.

WOJCIECHOWA (*dobywając z kieszeni pudełko*). No, kiedy tak szczerze obiecujesz poprawę, to ci powiem, że, pobiegłszy do studni po wrzuceniu zegarka, zobaczyłam, że pudełko wpadło nie w studnię, ale w wiadro na dół spuszczone... i wydobyłam je stamtąd... (*Wszystkie dzieci razem*). Ach co za szczęście! Znalazł się zegarek mamy.
N... ka.

BEZ DOMU.

W przedziale trzeciej klasy kolei Warsz. Pet. siedziała w kąciku mała, dziesięcioletnia dziewczynka; ubrana była w czarną żałobną sukienkę, a jasne włosy odbijały złocistymi promieniami od jej szczupłej i bladej twarzyczki. Czuła się obcą wśród tłumu cisnących się do wagonu podróżnych. Odstawiono ją do dworca kolejowego, polecono opiece konduktora, i poraz pierwszy w życiu puszczała się sama jedna w daleką drogę. Jechała w nieznaną okolice do nieznanych ludzi. Ojciec jej Karol Wnorowski, syn szlachcica zagonowego w Łomżyńskim, młodym bardzo chłopcem rzucił wioskę rodzinną, przywędrował do Warszawy, a mając zdolności do muzyki, nauczył się ładnie grać na skrzypcach i ubstał potem miejsce w orkiestrze teatrów warszawskich. Ożenił się później z miłą, dobrą, wykształconą młodą nauczycielką, z którą żył bardzo szczęśliwie, zwłaszcza gdy Bóg obdarzył ich śliczną dzieciną, ową maleńką Kazią, siedzącą dziś samotnie w kąciku wagonu. Zadowoleni z losu, poprzestając na tem, co własną zarabiali pracą, państwo Karolowie nie narzucali się krewnym z żądaniami pomocy, krewni też nie troskali się zbytecznie o młodych artystów i z czasem zobojętnieli wzajemnie dla siebie zupełnie, co było złem bardzo, bo stosunki rodzinne w każdym położeniu i we wszystkich okolicznościach życia starannie utrzymywać należy. Smutne skutki takiego zaniedbania związków z krewnymi pan Karol sam na sobie miał doświadczyć niebawem. Po kilku latach szczęścia i swobody nastąpiły czasy smutku i kłopotów: pani Karolowa zapadła w długą, ciężką chorobę, z której, mimo wszelkich starań męża, nie powstała więcej. Ojciec Karol nie pocieszony po stracie ukochanej towarzyski, nie żył w rok później życie zakończył. Zostawiając po sobie biedną sierotką, samą wśród obcych, bez opieki nad głową. Niespokojny o los jej wyjechał przed śmiercią zostawił sąsiadom, odwiedzającym go czasami w chorobie, adres brata swego stryjecznego, który, jak przypuszczał, mieszkał dotąd zawsze w pobliżu przez artystę rodzinnej wiosce, Wnory, w pobliżu stacji kolei żelaznej Łapy. Adres ten owi sąsiedzi litając się nad biedną Kazią, po pogrzebie p. Karola przesłał Marcinowi Wnorowskiemu, powiadamiając go jednocześnie o zgonie krewnego i o smutnem położeniu pozostałej po nim córeczki. Na list ten nadeszła niebawem odpowiedź w kilku słowach, zawierająca

żądanie, aby Kazię wyprawiono w dniu oznaczonym do Łap, gdzie na nią oczekiwać będą, i stosując się do tego rozporządzenia, biedna sierotka jechała koleją w nieznaną stronę, do krewnych ojca. Towarzysze podróży w wagonie, spoglądając ze współczuciem na samotną dziewczynkę, chcieli zabrać z nią znajomość, pocieszyć życzliwym słowem, ale Kazia tak była strwożona i nieśmiała, że nie miała nawet odwagi odpowiedzieć na zadawane jej pytania.

Pociąg biegł szybko, zmrok zapadał, potem ściemniło, się zupełnie, a dziecko siedziało ciągle w kąciku skulone i milczące. Nareszcie zamigotały światła latarni na stacyi, wagony stanęły, konduktor donośnym głosem zawołał: „Łapy”. Wziął następnie małą dziewczynkę za rękę, pomógł jej wysiąść, położył obok niej tłumoczek z rzeczami, i pociąg ruszył dalej, zostawiając poza sobą strwożoną, nieświadomą co z sobą począć sierotę. Przy świetle lamp widziała przed budynkiem stacyjnym różne parokonne i jednokonne furmanki, czy znajdzie się jedna z nich, dla niej przeznaczona? Czy kto zgłosi się po nią? Jacy to będą owi krewni, mający jej zastąpić rodziców? Te pytania snuły się po głowie Kazi, ale czas mijał, powozy i bryczki odjeżdżały z kolei, zabierając przybyłych podróżnych, a o nią nikt się dotąd nie dowiadywał. Biednej dziewczynce już się na płacz zbierało, gdy wreszcie posłyszała gruby głos mężki i pytanie do niej zwrócone:

— Czy to ty, mała panienko masz jechać do Wnorów?

Kazia z obawą spojrzała na stojącego przed nią mężczyznę; był wysoki, trochę przygarbiony, z gęstym zarostem na opalonej twarzy, miał na sobie prostą, szarą siermięgę, a dłoń którą ujął rękę dziewczynki, była szorstka i twarda.

— Ty jesteś Kazia Wnorowska, na którą czekałem i którą mam zabrać ze stacyi? — pytał dalej przybyły.

Odpowiedziawszy potakająco, sierotka odezwała się z nieśmiałością:

— Czy pana przysłał po mnie mój stryj, pan Marcin Wnorowski?

— Ja sam jestem Marcinem, bratem stryjecznym twego ojca — odparł zagadniony.

Dziewczynka przeraziła się krewnego swego; wyobrażała go sobie zupełnie inaczej, sądziła, że będzie podobny do jej tatusia, który był tak miłym w obejściu, tak grzecznie do wszystkich przemawiał. Nie miała jednak czasu na długie rozmyślanie, stryj zabrał jej tłumoczek, wsadził ją na dwukołowy wózek, zaciął konia, i odjechali ze stacyi.

Gdy stracili z oczu światło lamp, i ciemność nocy otoczyła ich dookoła, serce dziecka mimowoli z obawy silniej bić zaczęło; p. Marcin zachowywał ciągle głębokie milczenie, a koń biegł powolnym truchtem po dobrze znanej drodze.

Po kilku godzinach, które się wiekiem wydawały dziewczynce, zjechali na boczną drożynę; wózek potoczył się nierówno po kamienistej grobelce, chwilami koła zanurzały się w kałużach błota, a Kazia całą siłą trzymała się rączkami wasążka, żeby nie wypaść na ziemię. Miała jeszcze inne powody trwogi: trudno jej było uwierzyć, aby ten człowiek, przemawiający tak grubym głosem i noszący tak prostą odzież, mógł być jej krewnym. Na-

czytała się w książkach o rozbójnikach, napadających podróżnych i cyganach, porywających dzieci. Może ją taki niegodziwy rozbójnik w ciemności nocy uwozi? Szczęściem ujrzała migocące w oddali światełka, koń przyspieszył kroku i stanął niebawem przed wiejską zagrodą, a pan Marcin odezwał się, jakby oddychając swobodniej:

— Dojechaliśmy nareszcie! Franek, trzymaj lejce!
(d. c. n.)

SZARADA
ułożył Polcio P.

Pierwsze z trzecim napój miły
Dodający słabym siły.
Drugie z trzecim jest podpora
Dla rośliny letnią porą,
Wszystko razem w jedno wzięte
To narzędzie tępo ścięte.

ŁAMIGŁÓWKA KRYSZTAŁOWA.
ułożyła Reginka Sz.

1. Spółgłoska.
2. Nazwa miesiąca.
3. Miasto gub. nad. rz. Wilenką.
4. Klasztor pod Warszawą.
5.
6. Pasma gór w połud. Europie.
7. Znak w zodyaku.
8. Zwierzę domowe.
9. Spółgłoska.

Środkowe litery pionowo i poziomo złożyć powinny
nazwisko wielkiego mistrza krzyżackiego z XIV wieku.

ŁAMIGŁÓWKA W KWADRACIE.
ułożyła Wiewiórka z Zagorza.

- 1 W kwadracie o sześciu przedziałkach ułożyć wyrazy, których litery, oznaczone liczbami, złożą nazwę miasta nad Wisłą.
- . 2
- . . 3
- . . . 4
- 5
- 6

znaczenie wyrazów: 1) Miasto nad Prosną. 2) Rzeka w Prusach wschodnich. 3) Piękny ptak krajowy z rzędu wróblowatych. 4) Zwierzę drapieżne z rodzaju psów. 5) Wieś pod Krakowem, dawniej z zamkiem królewskim. 6) Miasto nad rz. Łukawą w gub. Radomskiej. Sylaby: Ka — pre — kras — sza — łob — o — lisz — pa — gla — ka — kal — zów — tów.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 9-go:

Zaciatki: Malina — Kalina.

Łamigłówni geograficznej:

T B D J T O T B A G O L P F
o r u e a p u a d e p o ł u
K o n s t a n t y n o p o l
i d a s r w i u g u l e c d
o y j o y a s m a a e z k a

Rebusiku:

W podróży zamieć i zadymka w stepie.

Skrzynka do listów.

Oleńce i Magdzi M. z Mławy serdecznie dziękujemy za listy i przesłane w nich dobre życzenia. Wszystko co donosicie, bardzo nas zajęło, a największej przygoda Edzia i wiadomości o uczonej pani Mandel..., która posiada tyle języków sądzymy iż wszystkimi mówi doskonale. Gdy znajdziecie trochę wolnego od innych zajęć czasu piszcie znowu do nas, co nam wielką zrobi przyjemność. O chorobie Maryni M. wiedziałam, i cieszyłam się bardzo, gdy wyzdrowiała. Tola i Niunia was ściskają; czas i w Warszawie nie zawsze mamy pogodny.

Kazi R. w Suliszowie, dziękujemy także po tysiąc razy za życzenia i wiadomości i prosimy, aby również podziękowała za nie rodzicom. Cieszymy się, że zdrowie babci już dobre i ścisłskamy kochaną naszą korespondentkę wraz z Celiną, Tolą i Niunią, które za pamięć jej dziękują.

Nie rozumiemy zupełnie łamigłówni *Wacława B.*, widzimy kratki, a w nich różne wyrazy, nie mające z sobą związku — prosimy więc bardzo o bliższe objaśnienie i staranniejsze opracowanie.

Warszawiak z Wilna znów nas obdarzył miłym i porządnie napisanym liścikiem. Łamigłównę pomieścimy, jeżeli się okaże równie dobrą jak poprzednia. Zapewne otrzymałeś już numer z rozwiązaniem szarady, której sam nie umiałeś odgadnąć. Dodatek musi zawierać wierszyki dziecinne, bo jak sam tytuł wskazuje, przeznaczony jest dla młodszej dżiatwy.

Szarady i łamigłówni *Sanoczanki, Orła* tatrzańkiego, *Sokoła*, z nad Wisły i *Edwarda Długosza* wydrukujemy kolejno, o ile tylko okażą się dobrmi.

Nadto dobre rozwiązania nadesłali: *Jan Henryk Niem...*, *Świerszcz* z nad Wisły, *Niezapominajka* z nad Sanu R. i *G. Weins...* i *Gołąbka* z Krakowa.

Bardzo mi się podobał twój pseudonym *Pszczółko* z *Pobereża*, ale niemniej także i ten, którym mama przewać cię chciała, „czajka z nad Czarnego morza” — to brzmi bardzo ładnie, ale trudno — jedna osóбка dwóch pseudonymów mieć nie może. List twój bardzo mi się podobał, bo ładnie i staranie napisany. Rozwiązanie zadania konikowego dobre, lecz w łamigłównie sylabowej pomyliłaś się w kilku wyrazach, jak się o tem przekonasz, otrzymasz numer z jej rozwiązaniem.

Równą jak zawsze przyjemnością liścik twój odczytałam *Różowa lewkońcjo*. A chociaż wszystkie listy kochanych moich korespondentek witam z radością, przyznać się muszę, że poza ogólną przyjaźnią mam i ja swoje szczególne sympatyje, do których między innymi ciebie i *Gałązkę heliotropu* zaliczam! Fotografii ci mojej nie posyłam, bo dotąd ptaszki nie dają się fotografować, zresztą podobniusięnką jestem do mych siostrzyczek — *Jaskółek*. *Gołąbka*, o której losy zapytujesz, wdzięczną ci jest za pamięć; widujemy się często. Obecnie nie ma ona czasu zajmować się *Wieczornami*, chociaż darzy je zawsze wielką przyjaźnią. Przed kilku laty wyszła za mąż i ma ślicznego synka, który powiększy niedługo liczbę naszych czytelników. Pisząc do *Gałązki heliotropu* pozdrow ją odemnie i nie zapominaj o życzeniach, wam zawsze:

Jaskółce.